

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

17

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

Był już podmajstrzym na statku żaglowym, odbywającym handlową wędrowkę wzdłuż francuskich i włoskich wybrzeży. Wziawszy półroczną płacę od swego kapitana, wysiadł bez jego pozwolenia na ląd w małej zatoce prowanckiej, z której okręt miał nazajutrz wyruszyć w dalszą podróż. Nie bacząc na smutne skutki, jakie dezercja pociągnąć może za sobą, pospieszył do Marsylii, gdzie w bezecnych orgiach, włócząc się po zankowych kawiarniach i najpodlejszych lupanarach, strwonił wszystkie z góry otrzymane pieniądze, niemal do ostatniego susa. Wtedy to, idąc pieszo, to przysiadając się na chłopskich wózkach, znużony, obdarty, niepodobny do boskiego stworzenia, dowłókł się do Castillon i zażądał od ojca tysiąca franków.

Stary Rutkowski, niegdyś żołnierz-ochotnik, uważający wszelką dobrowolnie podjętą służbę pod sztandarem, czy pod banderą za święty i honorowy obowiązek, przekonany przytem, że chłopak nie może być gdzieindziej teraz, jak na morzu, powitał go z pełnem podziwu oburzeniem i przyjął niezmiernie surowo. Odmówił udzielenia żądanej sumy, zagroził nawet wydaniem władzy, jako zbiega, jeśli nie zabierze się natychmiast i drogą lądową nie dogoni statku w pierwszym porcie, w którym miał się zatrzymać i na dni parę zarzucić kotwicę, dając mu tylko tyle pieniędzy, ile konieczne było potrzeba na odbycie podróży koleją, trzecią klasą. Był pewny, że dogonić, a nawet przegonić okręt żaglowy jest rzeczą możliwą i łatwą, bo wszakże od dni kilku wieje wiatr kierunkowi jego przeciwny, który stanowczo wywołać musi opóźnienie.

Rozzuchwalony majtek zaczął starca wyśmiewać i natrząsać się z jego uczciwości i poczucia honoru. On przecie nie przyszedł do rodzica po rady, lecz po pieniądze, których użyje na dalszą hulankę. Ojciec uniósł się gwałtownym gniewem, począł synowi wyrzucać wszystkie dawniejsze haniebne sprawki, a nawet zamierzył się na młodzieńca... Wynikła stąd scena straszna, którą baron, gdyby mógł, wyrwałby z pamięci raz na zawsze, lecz obraz jej tkwi w jego mózgu, jakby wyryty rozpalonem do czerwoności żelazem... Sprawa ból nieznosny, dokuczliwy, okropny!...

Och, to ludzkie sumienie! Uspić go nie można ani bogactwem, ani tytułem, ani stanowiskiem w wielkim świecie! W chwili właśnie, gdy sięgamy po to, co nazywamy celem naszego życia i naszym szczęściem, odzywa się nagle w głębi duszy i zmysły nam miesza... i z władzy panowania nad sobą, jak z pożyczonej szaty rozbiera... i grozi karą... i przerażeniem napełnia serce... Zwłaszcza, że wspomnienia o czynie, nie podobna rozprószyć innemi, pogodniejszymi myślami. Snuje się ono dalej i dalej, jak nić z kłębka, nieopatrznie rzuconego na ziemię.

Zaraz po pojawieniu się niespodzianem dezertera w dolnej izbie domostwa, Rutkowski obecna przytem żonę wyprawił na pierwsze piętro, nie chciał bowiem uleść jej łzom i prośbom, które już zanosić doń zaczęła za synem marnotrawnym. Biedna kobieta, zamknawszy się w swoim pokoiku, słyszała naprzód krzyki, poczem krótkotrwiącą bójkę, po której nastąpiło głucho milczenie. Dość długo zejść nie śmiała. Gdy jednak milczenie przeciągało się dalej, a wicher począł miotać rozwartemi na parterze drzwiami, zbiegła po schodach. Myślała, że ojciec z synem porozumieli się nareszcie; że syn, posłuszny rozkazowi, oddalił się, nie pożegnawszy się z nią w pośpiechu; ojciec zaś odprowadza go kawałek drogi, była to już bowiem późna godzina w nocy, a nad Castillon wyla burza z grzmotami i piorunami. Gdy wchodziła do izby na dole wiatr zgasił kaganek, który niosła w ręku. W ciemności potknęła się o leżące na kamiennej posadzce ciało. Przykłęka i pochyliła się nad niem, macając rękami po twarzy. Dłoń jej dotknęła czoła, a na czole poczuła pod palcami zabliźnioną ranę, którą mąż odniósł niegdyś w bitwie, gdy jako ochotnik walczył w szeregach francuskich z Prusakami.

— Chryste Panie! — krzyknęła — to mój chłop!

Wiatr wpadał do izby, łomocząc gwałtownie drzwiami, przez które syn jej uciec musiał, bo

przy Rutkowskim, nie poruszającym się i niemal już martwym, nie zastała nikogo... nikogo! Rozjechała się rozpaczliwie. Jęki jej sprowadziły po niej jakimś czasie sąsiadów, którzy pomogli nie szczęśliwej kobiecie przenieść męża na łóżko. W dniu następnym skołał on, nie odzyskawszy przytomności ani na chwilę, a lekarz, sprowadzony z Mentony, oświadczył, że eks-żołnierz zmarł na atak apoplektyczny. Kto ten atak wywołał? Jedna Rutkowska mogła odpowiedzieć, bo ona jedna tylko widziała syna, gdy przyszedł z Marsylii. Lecz ona milczała... Milczała zaraz po śmierci męża... i po jego pogrzebie... i później jeszcze, gdy sprawdziła, że z żelaznego kuferka, stojącego w głębokiej framudze, wybitej w murze dolnej izby, przylegającym do skały, znikło kilka banknotów po tysiąc franków każdy, zbieranych ciężką pracą i oszczędnością obojga Rutkowskich, a za które mieli nabyć na jednym z pobliskich pagórków na południe zwrócone obocze, zasadzone młodemi drzewami oliwnymi. O całej przygodzie nie wspomniała nigdy nikomu, chyba może tylko proboszczowi na spowiedzi. Ksiądz-staruszek, krępowany kapłańską przysięgą, milczał także za życia, a w rok potem zaniósł z sobą tajemnicę do grobu. Tak więc dzieje ohydne dramatu rodzinnego utonęły w głębi sumienia matki i syna, znane im tylko i Bogu. Opuszczona wdowa zanosila codziennie gorące modły do Najwyższego sędziego za dzieckiem występniem, błagając Pana nad paną, by je nie karał i sprowadził z błędnej na dobrą drogę.

Lat kilka upłynęło bez żadnej o zbiegu wieści.

Nagle pewnego wiosennego poranka zawitał do Castillon, nie jak przedtem jako biedny majtek w brudnej odzieży, bez susa w kieszeni, lecz jak człowiek zamożny, przyodziany w strój wytworny, z pugilaresem w zanadrzu, wypchanym przekazanymi na banki w Nizy, Tulonie, Marsylii i Paryżu, pod każdym względem zmieniony, tak w sposobie zachowania się jak w mówieniu, wyrażający się stylem ludzi wykształconych i dobrze wychowanych, panujący nad wybuchami dawnej, a kiedy niekiedy już tylko teraz objawiającej się gwałtowności, błyszczący dostatkiem i urodą, słowem pan, całą gębą pan, miły, szczodry i wspaniały. Po krótkotrwałej reminiscencji szczerzego oburzenia i gorzkich, nagromadzonych w piersi przez lata wyrzutach, matka — bądź co bądź zachwycona, rozczulona i uradowana widokiem ślicznego panicza — przebaczyła całującemu jej spracowane ręce synowi, jak zwykle wszystkie matki przebaczą ukochanym jedynakom. Wmawiała w siebie, że był wprawdzie niegdyś nieponiem, lecz obecnie już wyszumiał, prawdopodobnie wyzbył się złych skłonności i całe swe życie poświęcił na to, aby czynami cnoty odkupić czyn zbrodniczy. Przyczem dumie matczyne serce pochlebiało wielce, widzieć go pięknym, bogatym i jednającym sobie ludzi czarem swoich manier i swojej wymowy.

Pytała go z ciekawością:

— Więc dużo... dużo zarobiłeś pieniędzy?

— Dużo mateczko — odpowiedział.

— Czy w interesach handlowych?

— W różnych mamó.

Mówiąc to jednak spuszczał wzrok w ziemię, jakby wstydził się spojrzeć matce w oczy, jakby lękał się, żeby go nie zapytała: „W jakichże to interesach mogłeś tak prędko zdobyć olbrzymią fortunę?...“ Lecz matka nie zadała mu takiego pytania, bo o interesach w ogólności — prócz tych, które wytwarza praca sadownicza i rolna — nie miała najmniejszego pojęcia... Teraz w gąszczu cisnących się do mózgu jego wspomnień przesuwając się zaczęły w dalszym ciągu wizje pomysłów, kompromisów i układów, związanych z prowadzonymi przez niego niegdyś interesami, bardzo często wstrętnymi i poniżającymi moralną godność człowieka.

Nieraz bowiem za pomocą środków nieuczciwych... za pomocą wyzysku, upodlenia i podstępów zdobywał kapitały tak na bliższym i dalszym Wschodzie, jak w Syberii, gdzie naprzód udało mu się osiąść sto tysięcy rubli, następnie milion i wraz z obcem, przyznanem mu przez rząd nazwiskiem... tytuł baronowski. Ten ostatni otrzymał słusznie za rzeczywistą usługę finansową, oddaną miejscowemu, nieszczęśliwemu społeczeństwu... lecz czyż jeden czyn prawy mógł okupić tysiąc innych bezczelnych i nikczemnych?... A przecież on sobie nie wyrzuca i nieczego nie żałuje, bo sądzi, że pewnym ludziom wszystko wolno. Ci, wzbogacając się i rozszerzając zakres swoich stosunków w wielkim świecie, stają się pożytecznymi czynnikami cywilizacji, postępu i dobrobytu mas, nie mogących — z powodu swojej zbiorowości — projekto-

wać genialnych przedsięwzięć, ani wykonywać ich należycie. Wszystko, co wielkie, może być dziełem tylko wielkich indywidualizmów twórczych, a on czuje, że jest taką potężną indywidualnością. Wprawdzie wie, że ma sumienie nieczyste... robak jakiś utajony gryzie je niekiedy... tu nawet teraz, przed chwilą, jedno przypomnienie przejęło go lodowatym dreszczem... lecz co to znaczy wobec tryumfów, jakie odniósł i jakie jeszcze odniesie, zwłaszcza, gdy pokona opierającą mu się kobietę i zaspokoi namietność, obezwładniającą go chwilowo.

Pochylił głowę na piersi, tonąc teraz cały w rozkosznych marzeniach.

Przerwał je nagle parobek, spełniający w Castillon obowiązki listonosza. W mniemaniu, że Korf drzemie, przemówił doń z uszanowaniem, lecz nieco podniesionym głosem:

— Mam dwa listy dla pana barona. Czy je odnieść do willi, czy tu doręczyć?

— Daj — odparł on, jakby istotnie przebudzony ze snu.

Parobek wydobyl z przewieszzonej przez ramię torby skórzanej: zeszyt pocztowy, w którym adresaci kwitowali odbiór rekomendowanej korespondencji, ołówek i dwa listy z Warszawy: jeden zwyczajny, drugi polecony.

— Tu, proszę pana barona podpisać się należy... w tej oto kratce — rzekł, podając rozwartą książeczkę wraz z ołówkiem.

Korf podpisał, wsunął kłaniającemu się nizko parobkowi srebrną monetę w rękę i zabrał się do rozpieczętowania listów.

W pierwszym, donosił mu dr. Michał Marczał w krótkich słowach: że ciotka baronowej, pani Zuzanna Dulska, którą leczył, po niedługich, lecz dolegliwych cierpieniach „przeniosła się do wieczności“.

W drugim, poleconym, rejent Alfred Żarski, zawiadamiał o zgonie tejże samej Zuzanny Dulskiej, dodając, że posiada w przechowaniu własnoręczny jej testament, którym zapisała siostrzenicy swojej, Zofii, baronowej Korfowej, cały swój majątek, wynoszący około trzech milionów rubli w papierach publicznych i sumach, ulokowanych na pierwszym numerze hipotek kilku dóbr ziemskich, oraz kilkunastu fabryk i kamienic warszawskich.

— No, no — pomyślał Korf — piękny kapitał! Żona moja stała się nagle dobrą partią... Gdyby ciocia zmarła o rok wcześniej, prawdopodobnie nie wyszłaby za mnie... lecz papa i braci-szek, wówczas jeszcze przy życiu, wydarliby jej spadek przemocą lub podstępem i już dotąd roztrwoniliby go niezawodnie...

Zatopił się w rozważaniu położenia, wytworzonego przez wieści, jakie przyniosły przed chwilą otrzymane listy.

— Czy mam o tem, co tu piszą Marczał i notaryusz, donieść jej zaraz?... Nie, nie jeszcze! Broń Boże!... Zaczekam czas jakiś... może dni parę, aż stanie się to, czego tak gorąco pragnę... Inaczej gotowaby widzieć w sukcesji środek obrony i wyzwolenia... kto wie? czy nie rozwiązania naszego małżeństwa... Obecnie milczeć trzeba... Milczeć muszę... Tak, tak, milczeć muszę!

Schował listy do bocznej kieszeni surduta i spojrzał przed siebie na drogę z Mentony, wijącą się pomiędzy prostopadłymi ścianami skał, piętrzących się strzeliście, albo nad bezdenne prawie przepaściami, które częste i liczne trzęsienia ziemi porozdzierały całe zbocze góry. Jedną z takich otchłannych głębin otwierała olbrzymią paszczę tuż niemal pod balkonem ślicznego willi, z rozkazu barona wzniesionej i przeznaczonej przez niego na gniazdo, w którym przyjąć miała na świat Janinka. Inne w niekształtnych promieniach rozpryskiwały się w różnych kierunkach, tworząc groźne niebezpieczeństwo dla turysty, który — nie znając dobrze miejscowości — wybrałby się do Castillon w noc ciemną.

X.

Rozpacz matki.

Korf zeszedł nareszcie z przełęczy i podążył naprzeciw Zofii, zmęczonej długą wycieczką, więc postępującej ociężała i z trudnością po podnoszącej się w górę kamienistej drodze. W kilka minut potem spostrzegł żonę, stojącą nad brzegiem jednej z przepaści. Zatrzymała się chwilę, aby szybkim rzutem oka pożegnać morze, które o kilka kroków wyżej zakrywała już skalista nierówność gruntu. Baron zatrzymał się także, nie śmiejąc poruszyć się z miejsca. Zimny dreszcz wstrząsnął jego ciałem, a sercem zawładnęła dziwna obawa, podobna do lęku, jakim przejęty bywa nie-